ESKULAP – Anna Piliszewska

BRACIA BAGINSKY

1. SKRZYPIENIA

Migota płomyk łojówki. Skrzypi pióro, wędrując po otwartym kajecie. Chłopiec odgarnia kosmyk, uparcie opadający mu na skupione czoło. Jeszcze troszkę, a skończy. Przygryza koniuszek pióra. Jego palce splamione są niebieskim inkaustem – trudno będzie je domyć. Jego młodszy brat, Benno buja się na drewnianym, malowanym koniku – i nie sposób się skupić w rytmicznym skrzypieniu płóz. A zaraz wejdzie ojciec i zdmuchnie żółtawy płomyk. Wieczór już – za oknami wynurzył się blady, okrągły jak taca z cyny, połyskujący księżyc. A on jest już męczony, a jeszcze trzeba przeczytać i to, i tamto.

– Tylko skrzypisz i skrzypisz! – wzdycha w kierunku brata, tłumiąc głośnie ziewnięcie – Tobie, braciszku, dobrze. Nie musisz się tyle uczyć!

– Ja nie skrzypię! To koń! – kwituje Benno. Lecz zatrzymuje zabawkę i chwilę się zastanawia. – Za pięć lat ja też będę się tak dużo uczyć, a ty mi nie będziesz przeszkadzać, to i ja teraz tobie nie mogę…

Benno schodzi z karosza, przez chwilkę gładzi słomianą grzywę, po czym odstawia konia do kąta. Przysiada tuż obok brata, który pochylił głowę i, wysuwając czubek języka, zerka do podręcznika. Nieświadomie drapie się w ucho, po czym wzdycha, a następnie zaczyna pilnie stawiać litery w kajecie.

Drzwi zaskrzypiały głucho – w progu ojciec i matka. Zaraz zagaśnie światło. Ojciec, Abraham jest jak zawsze poważny. Chłopcy milczą – obydwaj jeszcze by posiedzieli: Adolf nad swymi lekcjami, no a Benno przy bracie.

Baginsky, z jakimiś rachunkami pod pachą, podchodzi wolno do stołu. Skrzypią klepki podłogi. Chłopcy zerkają na siebie. Żaden z nich nie śmie prosić, aby zostawić światło. Ojciec wydaje z siebie krótkie, ostre chrząknięcie. Na stopach ma skórkowe, połyskliwe pantofle – skrzypią. Stoi i z góry patrzy na swoich synów i na kajety rozłożone na blacie. Kiwa głową. Matka w drzwiach również patrzy – wspiera się o futrynę. Futryna skrzypi i trzeszczy. Matka minę ma nieodgadnioną.

– Wiele zostało nauki? – pyta groźnie Abraham.

– Tatku, tylko niecałe dwie strony doczytać. I trzeba przepisać te zdania, które są zaznaczone.

– To niewiele.

– Tak, tak.

Naraz ojciec sprężyście odwraca się na pięcie. Wychodzi. A wraz z nim matka. Po chwili Abraham wraca. Przesuwa książkę, zeszyty i stawia dodatkowy, wysoki lichtarz. Robi się wiele jaśniej…

2. ŚWIECENIA

W kantorku panuje półmrok. Wysokie półki biblioteczne, wypełnione mnogością ksiąg, rzucają ukośnie cienie. Popiersia z gipsu, wykonane w antycznym stylu, przydają miejscu klimatu powagi oraz skupienia. Ale największe wrażenie robi ciemne, dębowe biurko – ogromne! Abraham, gdy przy nim siada, wygląda bardzo dostojnie. Przy oknie zaś mała serwantka z różanego drzewa na wygiętych, cieniutkich, rzeźbionych nóżkach – to jedyny jaśniejszy element w pomieszczeniu. Ustawione są na niej różne rodzinne cenne pamiątki oraz bibeloty. I srebrna, ciężka menora.

Abraham przepuszcza żonę przodem i gestem zaprasza, aby zajęła krzesło. Sam zasiada przy biurku. Zapala małą łojówkę, którą trzyma w zapasie, gdyby skończyła się świeca. A teraz świecy tu nie ma, bo lichtarz wszak zaniósł synkom.

Amalia siada spokojnie. Czeka na ruch małżonka. Amalia jest z domu Lusting – wyniosła z niego żelazne zasady, jak powinna się zachowywać dobra, posłuszna żona. Zrobi wszystko dokładnie, co przykaże jej mąż. Co on powie, to święte! Ale przecież Abraham to mądry, oddany rodzinie, przyzwoity mężczyzna, stąd też ona zawsze ma pewność, że jego postępowanie jest ze wszech miar właściwe.

– Wiesz, Amalio, już dawno zauważyłem, że mamy tutaj za ciemno.

– Jesień już, to i wcześniej zachodzi słońce – potakuje.

– A tyle się mówi już od dłuższego czasu o pewnym wynalazku z wykorzystaniem nafty, dającym dość mocne światło…

– Masz na myśli tę słynną… lampę Łukasiewicza?

– Owszem. Rozważam, czy by jej nie zamówić. Do mnie, tu do gabinetu, no i drugą dla chłopców…

– Lampa musi kosztować…

– Zapewne. Ale wszak interesa idą całkiem pomyślnie. Rzekłbym nawet, że świetnie!

Amalia myśli w skupieniu – nieczęsto zdarza się, by Abraham pytał się jej o radę. A światło przecież jest ważne. Nie wie, czy jest bezpieczny ten nowy wynalazek. Podobno w Warszawie i w innych miastach korzysta się z niego nader chętnie. Może… mąż rzeczywiście powinien kupić te lampy? Tyle się o tym mówi… Tak, tak! Światło jest bardzo ważne.

– Myślę, że ty masz rację.

– W takim razie zamówię… trzy lampy! – woła Baginsky i aż zaciera ręce. – Zamówimy to novum. Mówię ci, że się sprawdzi!

Amalia znów potakuje. To chyba faktycznie jest dobry pomysł, szczególnie że chłopcy rosną i nauki wciąż będzie przybywać. Na jej poważną twarz wpływa uśmiech i wnet jej blade policzki robią się zaróżowione. Rozpromienia się zawsze, kiedy myśli o dzieciach. Abraham wprawdzie o tym nie zwykł rozprawiać, ale… kiedyś powiedział, że w rumieńcach jej ładnie.

3. PISZCZENIA

Kreda zabawnie piszczy, kiedy profesor pisze na czarnej, wielkiej tablicy. W klasie panuje cisza. Nie wolno szepnąć ni słówka! Chłopcy wiedzą o tym doskonale, jednak gdyby który zapomniał, spod pachy nauczyciela sterczy długa, twarda linijka, którą zapominalski może dostać po łapach. Niejeden się już przekonał! Dlatego wszyscy w skupieniu śledzą jego każdy, nawet najmniejszy gest. Słuchają pilnie co mówi i jakie ma polecenia. Adolf bardzo się stara, ale dziś wyjątkowo nie może się skoncentrować, bo drugi dzień nie ma Józka, a on nie wie dlaczego. Z Józkiem się znają dawno i od dawna przyjaźnią, siedzą też razem w ławce. A teraz już drugi dzień miejsce Józka jest puste! Wczoraj, kiedy nie przyszedł, Adolf bardzo się zdziwił, ponieważ powierzają sobie przecież wszystkie sekrety, plany, wszelkie małe smuteczki oraz wielkie radości. Czemu go nie uprzedził? Coś musiało się zdarzyć, ale co? Wczoraj nie mógł pobiec po lekcjach na Twarg-Gasse, gdzie mieszkają Knutowie, bo ojciec mu zapowiedział, żeby zaraz po szkole był nas czas, w związku z tym, że wraz z matką i bratem idą odwiedzić cioteczkę Ruth. Musiał być punktualnie! Sądził, że nic ważnego i Józek mu dziś wyjaśni. A tu dalej go nie ma!

Profesor chrząknął wymownie. Chwilę temu zapisał na tablicy zadanie, które trzeba rozwiązać. Klasa pracuje – popiskują pióra, ołówki. Po zakurzonej szybie wędruje duża biedronka – jak ona się tu dostała? Pewno wleciała wcześniej, zanim przyszedł tu woźny i pozamykał okna. I teraz nie ma jak sobie odfrunąć. Oh, gdyby on miał skrzydła, w mig by frunął do Józka!

– Baginsky!

Rety, toż to profesor! Marszczy czoło. Kiedy jest gniewny, jego faworyty stroszą się i wyglądają niczym zjeżona szczotka. Już go zlustrował wzrokiem. Obrócił się na pięcie, aż pisnął parkiet.

– Tak, panie psorze…?

Herr Fisch zbliża się nieubłaganie ku jego ławce, a on jeszcze nie rozwiązał zadania. Nawet go nie rozpoczął. Pac! Spadła kulka papieru. Wylądowała w kącie – ktoś chyba źle wycelował. Profesor zatrzymuje się. Wraca się, schyla po ściągę…

– Kto to? Który rzucił?!

Zalega grobowa cisza. Wiadomo – nikt się nie przyzna. Adolf łapie za pióro. Pisze, pisze – prędziutko rozwiązuje zadanie. Uf, skończył! Podnosi głowę. Profesor stoi tuż nad nim, w grubych palcach obraca zmięty karteluszek. Zakłada monokl. Czyta: „Oddałem serce Helence!”. Klasa wybucha śmiechem. Fisch próbuje zachować surową minę, ale nie może stłumić chichotu. Przez chwilę śmieją się wszyscy, jednak wnet stary profesor ucina wesoły nastrój puknięciem linijki w blat.

– Dosyć!

Klasa milknie posłusznie. Biedronka rozkłada skrzydła – krąży nad głową Fischa, po czym z gracją ląduje na pelargonii.

– Baginsky! No, pokaż zadanie…

Profesor bierze kajet. Kiwa głową.

– Gut, gut… Poprawnie. Całkiem poprawnie…

Rozlega się głośny dzwonek. Za drzwiami słychać ciężkie szuranie butów – to woźny. Zawsze tak człapie, kiedy idzie, dźwigając swój wielki, mosiężny dzwonek. Koniec lekcji. Koledzy się szykują do wyjścia. Adolf zakręca kałamarz.

– A ty co dziś taki zamyślony? Do ciebie to nie podobne…

To profesor. Wciąż stoi przy jego ławce.

– Ja? Nie…

– No, przecież widzę. Powiedz mi o co chodzi?

Profesor ma życzliwy wyraz twarzy, w jego oczach widoczna jest troska.

– Nie ma drugi dzień Józka, a ja nie wiem dlaczego… - wyszeptuje i opuszcza głowę.

– No, tak. To twój przyjaciel. Rozumiem… Pewno się martwisz. Ja wiem, czemu go nie ma. Bo jest chory, ot co!

– Dziękuję, panie psorze, że pan powiedział. To ja mu dzisiaj zaniosę zeszyty, żeby przepisał...

Profesor odkłada linijkę i niespodziewanie gładzi chłopca po głowie.

Chwilę potem już chłopiec pędzi do przyjaciela.

Józek leży w pościeli. Przy jego nogach, na kołdrze waruje Czaruś – mały, kudłaty kundel. Józek jest rozpalony – widać że ma gorączkę. Zza drzwi, szepcąc, zerkają jego trzej młodsi bracia i dwie małe siostrzyczki. Pani Adela Knut przynosi w dzbanku kompotu. Zaprasza, aby skosztować. Ale jak może smakować nawet najlepszy kompot, gdy przyjaciel jest chory i nie ma siły nawet pobieżnie zerknąć na przyniesione kajety? Pani Adela mówi, że

był lekarz i przepisał Józkowi rozmaite lekarstwa. A gorączka nie spada! Adolf siedzi strapiony. Józek kaszle i słychać jak coś piszczy mu w płucach…

4. KOPCENIA

Ojciec zaciera ręce. Amalia skinęła dłonią na synków – biegną. Już są! Na blacie stołu w jadalni kopci mała łojówka. Obok stoi spore pudełko. W tym pudle są lampy zamówione ze Lwowa. Ojciec napełnia naftą szklane naczyńko, podpala knot. Pomieszczenie zalewa jasne, drgające światło.

– Ach!

Ojciec zdmuchuje wątły, skaczący płomyk łojówki. Teraz pali się tylko lampa – jest jasno. Jest bardzo jasno! Amalia kiwa głową z uznaniem. Benno podchodzi bliżej i lekko przekrzywia głowę – z zachwytu. Abraham jest zadowolony. To pierwszorzędny zakup! Nawet Adolf na moment zapomina o wydarzeniach, które wciąż wywołują na jego policzkach łzy, gdy tylko o nich pomyśli. Też patrzy zaciekawiony. Dopiero potem, w pokoju, znów przypomina sobie kopczykowaty grób, kwiaty i małą świeczkę którą zapalił Józkowi. Kopciła się – wiatr porywał smużki sinego dymu. Nagle nie wytrzymuje i znowu wybucha płaczem. Benno go obejmuje – i trwają tak, przytuleni do siebie.

– Wiesz, Benno, gdybym ja był lekarzem, to bym go uratował.

– Wiem o tym, braciszku. Tak …

5. WYBIERANIE

Ojciec przegląda pisma – dokument za dokumentem. Niektóre papiery czyta uważnie, a po innych jego uważne oko prześlizguje się niby okoń kluczący pod podwodnym korzeniem. Ojciec wie, na co patrzyć z należytą uwagą, a co po prostu odsiać. Kiedy dostrzega chłopców, odkłada swoje binokle.

– Wezwałem was tutaj obu. Ciebie też, Benno, choć ty jeszcze masz czas, ale każda pora jest dobra, by poważnie pomyśleć o sobie i o przyszłości.

Chłopcy spuścili głowy. Co tatełe wymyśla?

– Dobrze się uczysz, co się chwali – Abraham zwraca się do Adolfa – Uznałem, że jest już pora, by ustalić spokojnie, co chcesz robić w przyszłości. No, powiedz. Myślałeś o tym?

– Ja…? Chcę się uczyć…

– To dobrze. Mógłbyś być inżynierem…

– Tak, tatku, mógłbym …

– Ale czy ty chcesz nim zostać?

Inżynierem? Niech będzie. Ważne jest to, by ojciec był zadowolony. Ale czy on sam chce? No, tego to nie jest pewien. Musi się zastanowić. Myśli. I nagle staje mu w oczach Józek. A potem pogrzeb. Coś gwałtownie ściska mu gardło. I łzy stają mu w oczach. I z trudem padają słowa: – Nie chcę być inżynierem. Ja… chcę zostać lekarzem!

Benno z podziwem patrzy na brata. I nagle podbiega do ojca, łapie go za rękawy, zagląda w oczy przymilnie.

– I ja! – woła – Tatełe, ja też będę lekarzem!

Abraham skubie swą brodę: – Medycyna… Nnno tak…

Chłopcy niepewnie spozierają na siebie. Pewno ojciec się gniewa za ten wybuch szczerości. Zresztą i tak zaplanuje ich przyszłość podług własnego sądu o tym, co dla nich najlepsze.

– No, to będziemy mieć w rodzinie dwu znakomitych medyków – powiada, a chłopcy nie wierzą uszom – Tylko uczcie się pilnie!

Audiencja skończona – obaj bracia wychodzą. Już są w drzwiach, kiedy słyszą, jak ojciec mruczy do siebie: – Hm… Obydwaj lekarze…? Niechaj będzie i tak…

6. KLASKANIA

Klaskają końskie kopyta. Przez Kleinen Ringh toczy się wózek handlarza Schulza. Zatrzymuje się przy browarze i zaraz rusza w sobie wiadomą stronę. Po co tam zajrzał Schulz? Tu wszyscy wszystko by chcieli wiedzieć, więc skoro nie będzie innej możliwości, trzeba by Schulza wypytać – ale nie tak od razu, bo on milczek jak żaden! W browarze pracuje Zucker, ojciec Grety, najładniejszej raciborzanki. Jeszcze niedawno wszyscy zachodzili w głowę, kogo ona wybierze. A wybierać było w czym – kawalerów wszak nie brakuje! No, ale nie tak dawno miedzianowłosa Greta wyszła za mąż za Franca. Czy była to dobra partia? Hm… Franc Kopf jest kominiarzem. Ciągle czarny od sadzy. Dopiero jak się wymyje i w wyglansowanych trzewikach idzie z Gretą pod rękę, widać że jest przystojny. Ma krótkie, kręcone włosy. I oczy o barwie fiołków. I mnóstwo drobniutkich piegów. A kiedy się uśmiecha, na jego gładkich policzkach pokazują się dwa wesołe dołeczki. Złośliwi mówią, że Franc ma urodę dziewczęcą, ale Greta, widać, wie swoje – inaczej by go nie wybrała. Ojciec Grety zaś, Zucker chodzi dumny jak paw, gdyż spodziewa się wnuka. Wygadał się wczoraj w karczmie. Wieść frunęła jak ptak. I oto dzisiaj kobiety z ciekawością oraz najwyższym znawstwem zerkały na brzuch Kopfowej,

gdy ta wracała z targu, po czym stwierdziły że to drugi lub trzeci miesiąc – bo nic jeszcze nie widać. Zucker ma dobry humor, wiec może ktoś go zapyta w sprawie wizyty Schulza?

Właśnie bracia Baginsky biegną placem do babki, gdy rozlega się wrzawa. To okoliczne dzieciaki wypatrzyły Franca, kroczącego z drabiną i wielką, kominiarską szczotką.

– Franc! Idzie Fraaaanc! – wydzierają się na całe gardło.

– Daj się złapać za guzik! Dostaniesz od Grety buzi!

Franc wcale się nie gniewa. Lubi dzieciarnię. Pamięta, jak sam był mały – i też lubił rozrabiać. Kiwa, usmolony, palcem i woła: – Chodźcie! No, który odważny?

Chłopaki wiercą piętami, podglądając jeden na drugiego. Nie taka prosta sprawa ucapić za guzik Franca. Wiadomo! Przy pierwszej próbie Franc zwinnie wyciągnie rękę i przesunie ją po czuprynie, policzku albo co gorsza po koszulinie śmiałka, zostawiając trudną do usunięcia, czarną, podłużną smugę. I lanie gwarantowane!

– Co z wami? Widzę wyraźnie, że was obleciał tchórz! – śmieje się w głos kominiarz.

– Gruby Adam niech idzie pierwszy… – poszeptują i wypychają z grupy rumianego Adama.

– Ja? A czemu ja? – rzuca chłopak. Łokciami toruje sobie odwrót. Umyka. Znika w wilgotniej bramie.

– A to nie wiecie, smyki? Jak który pomyśli życzenie i mnie złapie za guzik, to ono się zawsze spełni – zachęca Franc, a wesołe iskierki tańczą w jego fiołkowych oczach.

– My popróbujmy! – woła niespodziewanie Benno i ciągnie brata za rękę. Krok – i już są przy Francu. Teraz nie złapać za guzik – głupota! Cap! Franc błyskawicznie chwyta braci za nosy, które stają się czarne. Grupa wyrostków zanosi się wręcz od chichotu.

Zmykają, a za plecami słyszą drwiny urwisów.

– Benno, cóż ci przyszło do głowy!

– Nie musiałeś iść ze mną. Mogłem spróbować sam.

– No, dobrze. Przyznaję, chciałem. Chciałem, żeby się spełniło życzenie…

– Tak, jak i ja.

– Ale teraz wyciągaj chusteczkę, musimy wytrzeć tę sadzę…

– Nnno… racja.

– Szczęściem nos wypucować łatwo, dobrze, że Franc nie wysmarował nam ubrań…

Wsuwają się do pokoju z minami winowajców – ale nosy wszak mają już czyste. Matka podnosi oczy znad rodzinnego albumu. Rozdziela czułe uśmiechy równo pomiędzy synków.

– Jakże miewa się babcia? – pyta, choć wie doskonale, bo przecież była u niej przedwczoraj.

– Babcia mamusię pozdrawia.

– A… nie jesteście głodni?

Kręcą pilnie głowami. Jedli obiad u babki.

– Podaj mi, Benno, nożyk do papieru. Leży o tam! Znów skleciła się kartka…

Benno odwraca się. Idzie w stronę komody, w której winien być nożyk. Naraz aż podskakuje!, bo oto rozlega się dziwny dźwięk. Jakby… klaskanie? Odwraca głowę. Matka zmarszczyła czoło – i w dłonie klaska, i klaska.

– No, ładnie sprawiłeś się. Brawo! Idź natychmiast się przebrać! Trudno będzie to sprać!!!

Benno nic nie rozumie. Na polecenie matki przebiera się w inne rzeczy. I kiedy wiesza na krześle tyle co zdjęte z siebie, nowe, popielate spodenki, dostrzega smolisty ślad – pięciu palców, odbitych w okolicy pośladka!

7. KOŁYSANIA

Zabawka jest z kolorowego drewna. Zmyślna! Wygląda jak barwna wędka. Bo… to właściwie jest wędka. Jeśli zaś kręcisz korbką, pstrokata ryba skacze, kołysząc się przezabawnie. I trzeba w odpowiedniej chwili bardzo zwinnie podrzucić, by trafiła do wiadra. Wędka należy do ryszawego Horsta. Bracia Baginsky stoją, by się chwilkę przypatrzyć. Może Horst da potrzymać tę cudaczną zabawkę?

Zza węgła wyłania się wesoły Kopf ze swoją wielką drabiną. Benno daje łokciem kuksańca bratu. Teraz go widzą obydwaj. To idealny moment, by dać nogę, nie narażając się na steki kpin. Czmychają. Lecz bystre oko Franca już zdążyło ich schwytać.

– Hej, panowie Baginsky! Dostało się mocno w skórę, hę?

Wszyscy się na nich patrzą.

– Nie martwcie się! Spełni się wam marzenie. A… jakie, może zdradzicie? Może chcielibyście zostać kominiarzami jak ja? – śmieje się dobrotliwie, pokazując garnitur zębów, błyskających spod drobnego wąsika.

– Nie kominiarzami, a lekarzami! – wypala Benno z urazą, budząc lawiny gromkiego śmiechu. Jeszcze nikt nie przypuszcza, ze starszy z braci zostanie znanym w świecie pediatrą oraz założycielem *Centralzeitung für Kinderheilkunde*, periodyku medycznego, traktującego o chorobach dziecięcych, zaś młodszy wybitnym laryngologiem.

Franc chichocze, aż mu się kołyszą biodra, i szczotka przewieszona przez ramię, i ta wieka drabina. Bracia patrzą po sobie. Też zaczynają się śmiać…

8. PRÓSZENIE

Amalia upiekła ciastka. Oprószyła je cukrem. Układa część z nich na gładkim, szeleszczącym papierze. Pakuje. Związuje sznurkiem.

– Zaniesiecie to ciotce Ruth! – oświadcza. – Tylko nieście ostrożnie!

Chłopcy się cieszą. Świetnie, bo wydeptano ulice i po drodze się będzie można ślizgać na butach. Delikatnie biorą pakunek. Na zewnątrz chwyta ich w swe lodowe szpony kłujący, styczniowy wiatr. Targa czapki, szaliki. Śwista braciom do uszu. Śnieżynki spadają z nieba.

– Patrz, patrz! – woła Benno do brata – Są podobne do pszczół!

– Mleczny rój! Oczywiście…

Tu i tam wydeptany śnieg tworzy naturalne ślizgawki – takiej gratki się nie da przepuścić.

– Lepiej daj ten pakunek, bo się możesz wywrócić i poruszy się placek!

–Przecież ty też możesz się wykopyrtnąć – oponuje Benno, ale oddaje bratu paczuszkę.

Przystają zdyszani, aby nieco odsapnąć. A z nieba sypią się biele. Benno wyciąga rękę – na rękawie płaszczyka gromadzą się wielkie gwiazdki.

– Siadajcie! Pszczółki, siadajcie!

– Myślą, że jesteś kwiatkiem.

Chłopcy buchają śmiechem. Benno wyciąga drugą rękę – zaprasza frunące płatki.

– Rety! Spójrz, ten jest czarny!

– Coś podobnego…

– O, a tu drugi, trzeci!

– Biały i czarny śnieg?

– Benno, coś jest nie tak!

Rzeczywiście jakiś nagły niepokój zafalował nad miastem. W mlecznej zadymce pędzi, dzwoniąc, wielki beczkowóz.

– Toż płonie zamkowy browar!

– Rozprzestrzenia się. Chyba ogień idzie na zamek!

Naraz, jakby spod ziemi, wyrasta tuż-tuż przed nimi wąsaty mężczyzna w hełmie, strzepując z munduru śnieg.

– A wy kto?!

– Bracia Baginsky…

– Co tu robicie?

– Niesiemy ciasto…

– Dla cioci Ruth!

– Ciasto, mówicie… No, to na co czekacie! Zmykać mi stąd! A już!

Swąd się snuje w powietrzu, drapie w nosie i w gardle. Słychać krzyki, dzwonienia, szurania biegnących stóp.

Chwytają się mocno za ręce, a potem puszczają biegiem. Płatki bieli mieszają się z płatkami sadzy. Dwukolorowy śnieg. Prószenie, prószenie, prószenie…